

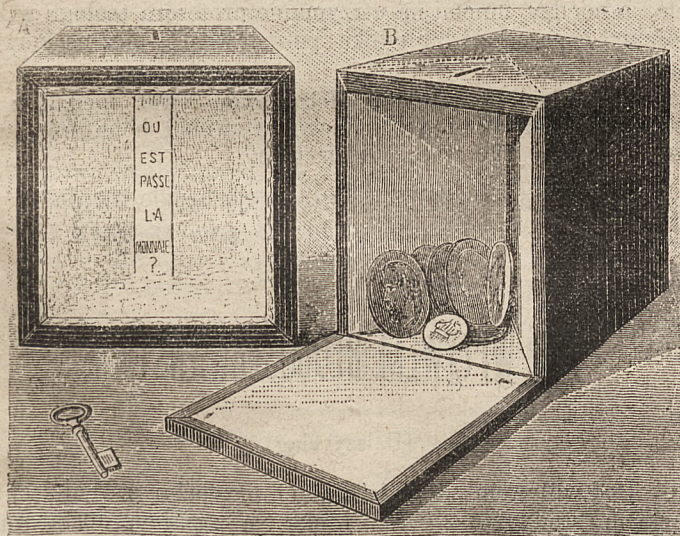


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakeyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Doświadczenie fizyczne.

Z pomiędzy tak zwanych sztuczek opartych na prawach fizyki, jest jedna dość ciekawa, którą może niejednen z naszych czytelników widział na przedstawieniach magicznych. Mamy tu na myśli gadającą głowę ściętego człowieka, położoną na stole. Sztuczka ta sprawia rzeczywiście na widzach silne wrażenie, gdyż posądzić nawet trudno o jakieś obalamucenie, albo figiel zręczności, stolik bowiem, zazwyczaj na trzech nóżkach, nie przykryty serwetą, nie może, jak nam się zdaje ukrywać choćby najmniejszej postaci ludzkiej. Tymczasem głowa obraca się, jej oczy patrzą wzrokiem naturalnym i co więcej odpo-

wiada bardzo logicznie na zadawane jej pytania. Gotowiliśmy uwierzyć w jakąś siłę nadprzyrodzoną, o posiadaniu której, zwykli nas zapewniać panowie magicy.

A jednak, gdy poznamy prawo fizyki, które nas uczy dla czego nie widzimy przedmiotu jakiegos na miejscu, gdzie się on rzeczywiście znajduje, zawołamy z pewnością, jakże to łatwo obalamucić kogoś nieświadomego rzeczy. Bo wyobraźcie sobie, że mimo iż stolik jest całkiem odsłonięty i że przekonani jesteśmy, iż pod nim nie masz nikogo, jednakże siedzi tam człowiek, który tylko przez otwór wycięty w blacie wysunął na wierzch jego, swą głowę. Jakże się jednak dzieje, że najlepsze oczy tego nie widzą? Otóż jest prawo fizyczne, które dowodzi, że gdy dwa zwierciadła stoją pochylone pod kątem 45° (stopni) od dwóch przeciwnych ścian z prawej i lewej strony, wtedy przedmiot znajdujący się w środku, odbiwszy się w obu zwierciadłach ginie dla wzroku naszego. Urządzenie jednak takiego przedstawienia jest dość trudnem, gdyż obok tej głównej zasady potrzeba dla zupełnego obalamucenia widzów, dużo jeszcze różnych przyborów. Prawo to zużytkował na małą skalę pewien przemysłny Francuz zbudowawszy tak zwaną cudowną skarbonkę, jedną z prawdziwie zaciekawiających zabawek. Jest to pudełeczko prostokątne, z wprawioną z boku szybą, pozwalającą zajrzeć do jego wnętrza, wyłożonego całkowicie białą watą. Gdy przez otworek, jaki zwyczajnie znajduje się w górnej ścianie skarbonki, wrzucimy drobną sztukę monety, wtedy jakkolwiek takowa wpadnie do środka, ginie jednak zupełnie z przed oczu naszych. „Gdzie jest pieniądz? (où est passé la monnaie?)” oto pytanie podane na małej kartce umieszczonej w skarbonce (rycina A); pytanie, które na razie dość byłoby trudne do

rozwiązania, jeżeli nie wiemy iż wewnątrz pudełka składa się z dwóch części jak nam to objaśnia rycina B. Przedział, do którego spada wrzucony pieniądz, jest ukryty przez dwa zwierciadła zestawione pod kątem 45°, przeto jest niewidzialny wraz z wrzuconą wewnątrz monetą na tej samej zasadzie, na jakiej nie widzieliście ciała owój gadającej głowy.

CO ON PISAŁ?



isał sielanki, t. j. pieśni opiewające wiejskie zwyczaje, przesady, prace i zabawy a zwał się Szymon Szymonowicz Bendoński.

I teraz dużo jest takich, co opiewają życie wiejskie i piękne na ten temat składają pieśni, ale teraz już nie trudno, jeżeli kto ma po temu zdolności, złożyć udany wierszyk. Teraz mamy język bogaty, mnóstwo wyrażań, bo przed nami był cały zastęp ludzi, którzy w rozmaitej formie wypowiadali myśli swe, torując

drogę i wskazując, jak się wziąć do tego.

Ale w XVI wieku, kiedy język dopiero się wyrabiał a o gramatyce i nauce ortografii nie było i mowy, trudno było wyrazić myśl swoją i trafić nią do przekonania innych.

Poeeci owocześni okazali tego jednak, na ich czele stoi Jan Kochanowski, lecz prócz niego był cały zastęp poetów. Pisali oni psalmy i inne pieśni religijne, pisali fraszki, opisywali rzeki nasze jak np. Klonowicz, Szymon zaś Szymonowicz pisał sielanki.

Tak on jak i wszyscy jego współcześni brali sobie za wzór greckich i łacińskich pisarzy, Szymonowicz zaś od lat najmłodszych obeznany był ze światem starożytnym. Ojciec jego miał stosunki z uczonymi tak w kraju jak i zagranicą, każdy z nich przysyłał mu swoje utwory, nieraz i nawiedził, Szymonek więc od dziecka otoczony już był tą atmosferą nauki, z której prawie bezwiednie czerpie się rozmaite wiadomości i nabiera ochoty do pióra.

Lecz Szymonowicz nie poprzestał na tej dorywczej nauce, kształcił się bardzo pilnie w Krakowie, skończywszy akademię wyjechał do Francji a potem do Włoch, gdzie nie siedział próżno, bo oprócz zdobywania nauki po akademiach i bibliotekach, zaznajomił się z uczonymi, w towarzystwie których wiele korzystał. Po powrocie do kraju został sekretarzem kanclerza Jana Zamoyskiego i objął zupełnie kierunek wychowania jego syna Tomasza.

Szymonowicz z początku pisał po łacinie, a tak się wślawił swemi pieśniami, że Zygmunt III nadał mu miano nadwornego poety; papież zaś Klemens VIII, który będąc jeszcze legatem, bawił w Krakowie, poznał Szymonowicza; zostawszy głową Kościoła, przysłał mu wieniec poetycki. Za łacińskie wiersze został również uwieczniony, a wypowiedziane w swojskim języku, zjednały mu miano najpierwszego naszego liryka; bo też dziwnie wdzięcznie nam się przedstawiają, jak np. w sielance „Pastusi”, kędy każdy z chłopców pasących do ptaszków przemawia:

SOBOŃ.

„Skowroneczku, już śniegi na polach nie leżą,
Już do morza rzekami pienistymi bieżą,
A tyś rad i ku niebu w górę polatujesz,
I garłeczkiem krzykliwym wdzięcznie przyspiewujesz.

Bo skoro wiosna role rozległe ogrzeje,
Skoro łąki kwiatami pięknymi odzieje,
Wymkną i robaczki z ziemi rozmaite
A ty potrawki będziesz z nich miał znamienite.

SYMICH.

Jaskółeczko, już się na świat ukazała?
Już się ożyła? już się z wody wyleciała? *)
Za tobą dni wesołe i wietrzyk powiewa,
Za tobą i słońeczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała, po polach przestronych,
Będiesz łapała i do gniazdka nosiła:
Boś je pod naszą strzechą ulepiła”.

Prześliczną jest także sielanka „Kołacze”. Osnął ją na zwyczaju znanym u nas i na Rusi i dotąd przechowywanym, że w dzień ślubu krewni i przyjaciele stawiają przed państwem młodemu kołacz pięknie ustrojony, życząc im wszelkiego dostatku. Bez kołacza więc uroczystość weselna nie byłaby zupełną, jak powiada poeta:

„Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojnie nalewają,
Kołacze grunt wszystkiemu; a może rzec śmieie,
Bez kołaczy, jakoby nie było wesele.
Laską w próg uderzono; już kołacze dają,
A przed kołaczmi panie nadobne śpiewają,
I taniec prędko wiodą, i kleszczą rękami,
Zabawny oczy tańcem, a uszy pieśniami”.

Takich sielanek napisał przeszło dwadzieścia, a nie tylko samą poezją zabawiał się Szymonowicz, boć na każdym kroku stawał się użytecznym społeczeństwu, uważając, iż jeżeli komu Bóg dał dużo zdolności, powinien je na korzyść innych obrócić. Dopomagał więc dzielnie Janowi Zamoyskiemu przy zakładaniu akademii w Zamościu, umierając zaś we Lwowie r. 1629, cały majątek zebrany własną pracą, zapisał na szlachetne cele, a między innemi na utrzymanie profesora teologii w Zamościu; bogatą zaś bibliotekę pozostawił również na korzyść tejże akademii.

Tak więc siedemdziesięcioletni swój żywot spędził z pożytkiem, a tak jak on dla jednego ze swoich bohaterów, tak my za nim, na jego cześć powtórzmy:

„Zawsze cześć, zawsze sława twoja będzie trwała”.

Zuzanna Morawska.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

Pod wpływem coraz ściślejszej przyjaźni z Wojciechem Packiem, studiując z coraz większym zapałem dostarczane mu przez tego przyjaciela książki, Petófi uczył się jednocześnie teraz pracować i żyć, i nawet zaczynałby zwolna i z własnym wielkiem zdziwieniem, uczuwać się szczęśliwym przy bezustannem badaniu dzieł wielkich mistrzów, gdyby nie czarna chwila gniewu ojcowskiego leżąca na jego życiu jak przepaść, i gdyby nie uczucie upokorzenia iż był prawie na łasce przyjaciół.

W miarę, jak pracował jednakże, utwory jego nabierały większej wartości, a nawet i większego rozgłosu, co przecież jedno za drugim nie zawsze idzie. To co było drukowane mianowicie w piśmie *Elet Cepik* (sceny życia) zdobyło ogólne uznanie. Szandor coraz serdeczniejszą przyjaźnią z Packiem złączony, łamał głowę aby z pracy swęj jakiś taki materalny

*) Dawniej ogólne było mniemanie, że jaskółki podczas zimy kryją się pod wodę, lud w to dotąd wierzy.

odnieść pożytek o tyle przynajmniej, aby przyjacielowi i po-
czciwym aktorom nie być ciężarem. Im był zdrowszym, tem
przykrzejszem było mu z tego względu jego położenie.

Nagle przyszła mu myśl aby nie mówiąc nikomu udać
się do Pesztu i tam próbować wydawnictwa. Zabrawszy więc
plikę papierów i pożegnawszy wszystkich, ruszył znów w po-
dróż pieszo. Tym razem posłużyło mu szczęście, znalazł
przyjaciół w gronie literackiej młodzieży, ci dopomogli mu
do sprzedania wydawcy zebranych poprzednio pieśni. Najpierw-
sze wzięte za nie pieniądze odesłał do Dobreczyna tym, którzy
się nim tam tak bezinteresownie opiekowali.

XIV.

Piękną jest puszcza latem, piękną bywa i w zimie, lecz
jakże dzika, straszną prawie pięknoscią. Uleciał bocian, za-
marzły wody i znikł cały świat otaczających je gromadnie
wrzawliwych istot. Bezbrzeżna biel, biel bez cienia, bez plam-
ki, bez odmiany, bez najmniejszego punktu, na którym oko za-
trzymaćby się mogło, nakryła wszystko, ziemię i niebo, tak że
zdaje ci się, znalazłszy się natenczas wśród stepu, że stoisz
wpośrodku wnętrza olbrzymiej kryształowo-białej bani.

W czardzie ogień niepoprawiany smutno płonie, bo po-
piół i węgle nakryły żar. Gospodarz w pół ubrany, wychudły
i żółty na twarzy leży na łóżku. Gospodyni łuska groch sie-
dząc na zydłu tak blisko że spojrzenia z chorym zamie-
niać może; inną też rozmowy nie było od kilku godzin między
niemi. Wycie wichru wstrząsa czardą, jakkolwiek jest przy-
sadzista i śniegiem zasypała do okien. Wśród ciszy bezden-
nej panującej w chacie, odzywa się nagle chrapliwy głos cho-
rego:

— Niema nikogo w domu?

— Jest... Janosowa matka — odpowiada gospodyni,
spoglądając na męża, zdziwiona iż mu się na mówienie ze-
brało.

— A inni? parobcy? dziewczki? odeszli?... wszyscy?...

— Nie można do nich mieć żalu za to: gdy roboty było
mało i coraz mniej, nie chcieli darmo jeść chleba.

— Niemiec przybłąda nową gospodę o pół mili od nas
zbudował i lud przejeżdżny wszystkich do siebie przeciągnął, to
złakł ma u nas być robota, kiedy gość ani zajrzy — mruczał
gospodarz półgłosem, sam do siebie. — A co tam?

Ostatnie wyrazy odnosiły się do niespodzianego brzęku,
który wprawne ucho pochwyliło od wrót:

— Tam ktoś zajechał!...

W tej gospodzie huczającej dawniej bezustannie gośćmi,
życiem, pracą i weselem, dziwnem było teraz gdy kto zajechał.
Petőfiowa zdziwiona też powstała, do izby wszedł ksiądz nie-
znajomy, z chrześcijańskim powitaniem na ustach.

— Ależ tu się u was coś zmieniło — dodał — myślałem
żem zabłądził, a przecież byłem tu przed dwoma laty jadąc na
odpuść.

— Oj zmieniło; gospodarz chory a Niemiec przybłąda
zbudował w pobliżu drugą gospodę i wszystkich gości do siebie
przeciągnął.

— A to dziwy! — rzekł ksiądz zabierając się do jadła
podanego mu na pręde przez gospodynię.

— Nawet służbę naszą przeciągnął do siebie, żyje się
z dawnego zasobu, a gdy tego zbraknie, a podatków nie będzie
czem zapłacić, to naszą starą czardę na step wyrzuca.

— Musi coś w tem być! Ale co? trzeba się nad tem za-
stanowić, przyczynę złego znaleźć, wygnać z chaty i biedę jej
sługę przydeptać, aby ona was nie zdeptała — wesoło odrzekł
ksiądz. — Pomyślcie coby to mogło być? A no przedewszyst-
kiem już choroba sama pewno gości nie przyciąga; wartoby
się jej pozbyć; co to wam gospodarzu?

— Wszyscy mówią, lekarki i starzy i sam tak rozu-
miem, że morzy mię ucisk serdeczny, przez co ani jeść ani
spać nie mogąc, opadam z sił coraz bardziej — pokiwał głową
gospodarz.

— A z czego ten ucisk?

— To już dopuszczenie Boże czy kara za jakieś grzechy.
Miałem jedyne dziecko, chowałem je w bojaźni bożkiej, złego
przykładu nie dałem, kazałem uczyć, łożąc kosztą ile było trze-
ba, myślałem, będzie z niego prawnik, inżynier, albo naczelnik
powiatu, a my przy nim przytulimy się w starości... Ot, Pan
Bóg nie pobłogosławił, a jam... w złej godzinie przeklął je
prawie...

— O!... u!... — rzekł ksiądz, kładąc łyżkę, na osta-
tnie ciszej wymówione przez gospodarza wyrazy.

— Nie! nie domówił, proszę Ojca, nie domówił złego
słowa, jakem żywa nie domówił!... — składając ręce z wielką
żywością, zapewniła podbiegając gospodyni.

— Nie wymówiliście gospodarzu? — pytał ksiądz surowo.

— Niby nie, bo mi żona ręką usta zatuliła...

— No, to wasze szczęście, ale... — pokręcił głową za-
bierając się z wolna do jedzenia.

— Ale zaczął!... i w myśli miałem!... i oto teraz le-
żąc bezsilny dniem i nocą nad tem myślę, za co spada na nas
kara: czy za nieposłuszeństwo dziecka? Czy za popędliwość
moję?...

— Hm, któż może wiedzieć; każdy za własne grzechy
odpowiadać będzie, ale wam ojcowie i matki przystoi raczej
stokrotnie i surowo ukarać, niżeli raz złe słowo wyrzec. Z tem
wszystkiem dziecko krnąbrne, nieposłuszeństwem swoim do-
prowadzając ojca aż do tak wielkiego gniewu, bodaj czy i je-
go i własnej winy dźwigać nie będzie musiało...

— Wielki Boże niedopusć! Wielki Boże przebac! Mo-
ja wina, niechajże ja raczej i za siebie i za niego ją poniosę! —
rozpaczliwie uderzając się w piersi, krzyknął starzec, prze-
rażony tem przypuszczeniem.

— Na mnie, na mnie za nich obu karanie twoje ojcow-
skie raczej spuść Panie Boże!... — szeptała kobieta, klękną-
wszy u komina.

Ksiądz popatrzył na gospodarza:

— Tak więc kochasz serdecznie dziecko twoje, pomimo
winy jego? Zatem z popędliwości kłąć chciałeś tylko?

— Z żalości, że swoją i naszą przyszłość zmarnował.

— A on nie upokorzył się? Nie błagał przebaczenia?

— Radby i jak! — wtrąciła żywo matka — ale przystą-
pić się obawia, bo dobrze wie że w panu ojcu jaki był żal do
niego taki jest.

— Jakto? pomimo całej miłości dla dziecka, pomimo iż
sami bolejecie nad popędliwością waszą, nie możecie mu prze-
baczyć jeżeli się upokorzy? — spytał ksiądz. Petőfi załamał
kościste wychudłe ręce:

— Albo ja sam wiem jaka żmija serce mi kasa — je-
knął. — Sto razy powiadam sobie że chłopiec nie winien, bo
już snadź taką ma naturę, że musi pieśni swoje wyśpiewać.

— Pieśni wyśpiewywać?... a cóż to on tak śpiewa? —
spytał znów ksiądz.

— Ot, niby pisanie w książkach przypada mu jedynie
do serca — objaśniła Petőfiowa, wzdychając — i teraz w Pesz-
cie pisze, a co napisze, to ludzie wydrukują i niby jemu za to
placą.

— Ale przytem pewno głodem mrze? — rzekł Petőfi,
jakby żony pytając. Wtem księdzu nagle łyżka wypadła
z ręki:

— Petőfi!... w Peszcie?... Nie Szandor mu na imię?

— Rozumie się że Szandor...

— O!... to znówu co innego!... — przeciągle rzekł
ksiądz, patrząc z podziwieniem na gospodarzy jakby ich po
raz pierwszy oglądał.

Tu nastąpiło bliższe porozumienie... Ksiądz miał z sobą
poezyje Petőfiego wydane niedawno w Peszcie... Przeczytał
rodzicom niektóre z nich ustępy, wprost przemawiające do ser-
ca i nietylko matce, ale ojcu nawet łzy się z oczu polały.

— Teraz widzę — wyrzekł, że już czasem taka wola Bo-
ska jest aby synowskiemu powołaniu ojciec ustąpił...

— Tak... ale z warunkiem, że to będzie prawdziwe od
Boga dane powołanie.

— A jak to poznać?

— Po pokorze!

— O!... on mi nigdy w oczy zuchwałym nie był. I matka mówi że ma pokorne listy od niego, alem ja nigdy słyszeć o nich nie chciała. Ojciec! niech wasza miłość napisze do Szandora, abym nie umarł nim go pobłogosławię.

— Napiszę do niego dziś jeszcze — rzekł ksiądz gdy powrócił do chaty swojej. Teraz żegnajcie.

W sieni Petofiowa: tłumiając łkanie padła do nóg księdzu:

— Niech Bóg błogosławi waszą miłość za waszą mowę i czytanie, któremi nawróciłeś ojca do dziecka!

— Cicho! sza!... Macie listy od syna to je ojcu czytajcie!

— O... i jakie serdeczne!... — z nieopisanym radosnym wzruszeniem szepnęła matka sama do siebie, gdy ksiądz tymczasem znikł w tumanach zawiei.

— Wspomniałaś, że masz listy od chłopca: przeczytaj! — powiedział gospodarz gdy gospodyni, otarłszy oczy wróciła do izby. Bez namysłu rozwinęła tylko co otrzymany list i siadłszy przy łóżku czytała: „Matusiu moja serdeczna! Tyś mi wykarmiła mlekiem, wykołysała pieśnią: o matko, czemuż nadzieje twoje tak prędko powędrowy: tyś je wysłała w świat, jak Noe białą gołębicę z arki, lecz żadna z nich nie wraca do serca twego z oliwną różeczką pokoju. Los mi się uśmiecha; Karady sekretarz klubu i Voeroesmarty „książę literatów” jak go w całych Węgrzech nazywają, zachwycają się memi pieśniami i przeto wszędzie znajdują przychylność. Drukują teraz chętnie księgarze moje poezye. Emeryck Vachot, założył teraz właśnie dziennik *Festi Divatlap* i mnie powołał na drugiego redaktora. Komu innemu byłoby to wielkiem szczęściem, a mnie gdyby i korona niebieska spotkała, umierałbym wciąż ze smutku, pod ciężarem zamyszonego jeżeli nie wymówionego, dzięki niebu ojcowskiego przekleństwa. Dobrzy przyjaciele śmieją się też ze mnie, nie wiedząc prawdziwego niedoli mój powodu: mówią, że gdy niebo na chwilę się zaciemni to ja narzekam na chmury, a gdy zajaśnieje czystym błękitem, utyskuję, że słońce przyswieca zbyt jaskrawo, że widok zielonych drzew na wiosnę przejmuję mnie tęsknotą, a widok świeżego śniegu tęsknicą bez granic. Zartują ze mnie.

Lecz ty matko zrozumiałabyś i zrozumiesz mnie. Żyję ja tu i przyjaźnię się ze znakomitymi pisarzami: Josika, Eotvoes, Szatmary, Palfi, wszyscy oni badają obce dzieła i języki i na wzór je sobie biorą; ja jeden piszę i usiłuję coraz lepiej pisać w tym samym ludowym języku, którym stary nasz Arpad mówił i tyś mi matko pieśni śpiewała. Uczę się też ciągle, ile czasu starczy, umiem po angielsku, francuzku, włosku i czytam co tylko tamtych krajów pisarze najlepszego, najslawniejszego napisali, ale mi zawsze najmilsze co swoje, najpiękniejsze te stare jak świat i Węgry, pieśni, które z czikoszami w dzieciństwie mojem śpiewałem. Matusiu moja, pewny jestem, że gdybym za grzechy moje potępiony być miał, tybyś łzami u Boga potrafiła dla mnie przbaczenie uprosić: czyliżbyś u ojca uprosić go nie mogła?... — Łkanie nie dozwoliło biednym rodzicom listu tego dokończyć. Odtąd Petofi niespokojnie oczekiwał przybycia syna, wstawał jakby zdrowszy.

— Najlepiej byłoby żebyś sama napisała do niego — rzekł nazajutrz do żony.

— Napisałam i list poszedł wczoraj jeszcze.

— Któż go poniósł, kiedy czeladzi niema prócz staruszki Janosowej matki?

— Poniósł go któryś cygan na rozkaz ojca bandy, dojdzie pewnie przez pocztę.

— A zkadże starcy cygan zjawił się na zawołanie?

Petofiowa ciężko westchnęła:

— Odkąd zapasy wszystkie z izby na poddaszu wyszły... jest ona pusta i przeto cyganie włóczący się bezustannie po stepie często w niej nocują zimową porą; pytali czy pozwolę, więc pozwoliłam, bo nie mogłam wzbronić, a bałam się ich... wreszcie posłuszają za to czasem a ukraść po swojemu, niemają co.



NA WSI.

Tam pod lasem, hen! daleko.

Ciche leży sioło;

Rzędem chaty ponad rzeką

Bieleją wesoło.

Szumia sady, woń ogrody

Balsamiczną zioną;

Gęsi stado wraca z wody,

Z szyją wyciągnioną

Jak gadziny syczą gąski...

Ulubionej wielce,

Dziewczę ziela daje wiązki

Krówce karmicielce.

— Oh Niemce! Niemce przybłądo!... — jęknął gospodarz — na jakież mię przywiodłeś zniewagi!

— Zmartwienie i choroba więcej temu winne niż Niemiec, bo niemilo gościom gdy gospodarz chory, a i ten Niemiec nie zamierzyłby nową gospody budować w sąsiedztwie, gdyby nie mówiono głośno że w naszej niema już ni ładu ni

wesołości, jak dawniej przy zdrowym gospodarzu. Wezwij Boga na pomoc abyś się mógł oprzeć smutkowi i chorobie, a wszystko jeszcze dobrze będzie; dobre czasy wraz ze zdrowiem powrócą.

— Tylko już nie w tej gospodzie. Obrzydła mi i gospoda i okolica odkąd dawni przyjaciele opuszczają nas zaczęli dla Niemca... dla tego że nieszczęście przyszło.

— Przecież nie czikosy!

— Gdyby też nie tych kilku czikosów, którzy jeszcze czasem do nas zachodzą i pomagają ci w niejednym, toby mi już ze wszystkim ludzkiem obrzydli; a i ci...

— Oj... gdybym ja ci panie mężu powiedziała coś o tych czikosach... otóż wiedz, że gdy owo nieszczęście stało się z naszym chłopcem, co-przedzję, jak tylko wrócili do roboty parobcy, zebrałam co tylko grosza miałam i rozesłałam Palowi, Michałowi, Łukowi, który mi pierwszy z nich na myśl przyszedł, z prośbą żeby oddali to Szandorowi, gdy do nich przyjdzie... bo pewna byłam że się tam zgłosi.

— To dobrze Ilusko, myślałem że tak zrobisz... choć pytać nie śmiałem.

— Cóż, kiedy chłopiec nie pokazał się wśród czikosów...

— Co? A gdzie się podział?... — zerwał się starzec blady jak ściana.

— Leżał, prawie bez duszy wśród stepu... chory... — płacząc szepnęła matka.

Ojciec stał nieruchomy z załamanymi rękoma jak posąg boleści.

— Rozesłałam za nim cyganów, i ci go znaleźli i odratowali z choroby, ale pieniędzy nie mogłam przez nich przecież posyłać; myślałam że dziecko potem ozdrowiawszy pójdzie do czikosów, ale Szandor poszedł do Dobreczyna, unikając znajomych po drodze... Odtąd pozwałam cyganom przebywać w izbie na strychu... A czikosy odnieśli mi pieniądze co do grosza; czy myślisz panie mężu że każdy inny człowiek zrobiłby tak samo?

(d. c. n.)

Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

List Stefanka do młodszych braci.

Goryca 23/V 1890 r.

Kochani Mieciu i Józiu!

List, w którym ojciec pisze, żebyśmy już wracali do Warszawy, zagnął mamę do przyspieszenia wycieczek, które przed stanowczym ztąd odjazdem warto było odbyć. Pojechaliśmy najprzód do Monte Santo, czyli na Św. Górę. Od wsi Salcano leżąc u podnóża góry, szliśmy do wierchołka aż 3 1/2 godzin. Może zasłablibyśmy i przedzję, ale wiecie dobrze, że jak się ma taką kulę u nogi, jak Adaś, jest to niemożliwe.

Wszedłszy na górę, ujrzelśmy przed sobą Alpy Juliańskie wiecznym śniegiem pokryte; w głębi „Wielki Wierch”, na prawo malownicza dolina, a dalej góry „Tarnowański las” z nieprzeliczonemi

drózkami, a raczej drogami, wijącemi się, jak węże i to nie takimi, jak u nas w Karpatach, ale wygodnemi, bitemi gościńcami. Na lewo jest dzika i skalista góra S-go Walentego (gdzie podobno znajdują się węże), przedzielona od Świętej góry bardzo jeszcze w tem miejscu wąską rzeką Isonzo (Sdobba), nad którą leży Goryca. Rzeka ta przedstawia się ztąd w całej okazałości, i prawie w całej długości, gdyż tylko ujścia jej do morza nie widać, choć morze

widać doskonale. Towarzyszący nam Włoch pokazywał mi nawet Tryest, ale my go dostrzedz nie mogliśmy. Kościół na tej S-tój Górze ma tylko 5 ołtarzy, z których jeden na środku, jak w Krakowie na Wawelu; za to konfesyjonałów aż siedem, bo wiele osób przychodzi z Gorycy by tu się spowiadać. W jednej z dwóch kawiarni mieszczących się przy kościele, jedliśmy obiad bardzo nieosobliwy, ale za to bardzo drogi. Pogoda nam dopisywała, tylko na przełęcz między Wielkim Wierchem, a św. Górą był duży wiatr.

Nazajutrz jako trochę jeszcze zmęczeni, nie byliśmy nigdzie i dopiero w dniu następnym, mimo wątpliwą pogodę, pojechalśmy do Tryestu i prosto z kolei wsiadliśmy do tramwaju, który nas zawiózł do mola S-tój Teresy *), na którym znajduje się latarnia morska. Przechodzi się do tej latarni przez arsenał artylerji. Na molo dał straszny wiatr od morza, ale przecież dostaliśmy się do wieży, w której się mieści latarnia. Wieża ta jest szersza u podstawy, na której wznosi się baszta. Po stu czterdziestu kilku schodach wchodzi się na ganek, okrążający samą latarnię. Śliczny ztąd widok: z jednej strony na morze z setkami okrętów, a z drugiej na Tryest, rozłożony w półkole w około portu. Weszliśmy po drabinie jeszcze wyżej, by obejrzeć samą lampę. Jest ona urządzona do nafty, ale świeci jasno i daleko, bo klosz jej jest z bardzo grubych soczewek. Do budki tej na górze, która ma szklane ściany, dochodzi telegraf i telefon.

Po obiadku poszliśmy obejrzeć Canale grande, t. j. kanał wchodzący w środek miasta. Dziwnie to wygląda: wielkie okręty stoją sobie między domami, a gdy chcą na szersze morze wyjechać, trzeba sięgnąć do brzegu most łączący poprzeczne do kanału ulice. Kupiwszy pomarańczę (które mówiąc nawiasem, są tak drogie jak w Gorycy), poszliśmy na Molo S. Carlo, gdzie przesiedzieliśmy godzinę, patrząc na morze, potem zwiedziliśmy okręt stojący przy Molo. Nazywa się on „Tryest”, (wszelkim większym statkom nadają się nazwiska), a miał odejść tego wieczora do Wenecji.

Z Tryestu, drogą żelazną w kwadrans przybyliśmy do sławnego Miramare. Jest to pałacyk ze wspaniale urządzonego parkiem, na stoku wzgórza nad samem morzem. Ze stacyi do parku schodzi się wązkim przejściem po schodach, obok których płynie strumień; nie widać go, ale słychać. Ten park to istne cudo! na każdym niemal kroku jest coś nowego, niespodziewanego: groty, tunele, posągi, klomby z osobliwych roślin, drożki i t. p. Przed pałacykiem jest balkon wysunięty nad otchłań morską, a w jego rogach drzewa. Wspaniały ztamtąd widok na morze i Tryest, a jeszcze ładniejszy z gloryetki stojącej na wzgórku. U stóp parku jest mała przystań dla małych parowców, którymi także przybywają z Tryestu ciekawi, jeśli nie wolą dostać się tu drogą żelazną, albo wyborań na pbrzeżu morza drogą dla powozów. Mała ta przystań ma także swoje „molo” na którym zamiast latarni znajduje się sfinks kamienny. Zabierając się do odjazdu, udaliśmy się do stacyi, przez coś jakby podziemną szklarnię. Tamtędy zdążał, arcyksiążę Maksymilian do wagonu kolejowego. Pilnujący tego przejścia drożnik, zwrócił naszą uwagę na jedno skrzydło tej szklarni, całe zajęte przez wysokie na dwa piętra duże drzewo amerykańskie *Araucaria excelsa*.

O godzinie 7^{1/2} byliśmy z powrotem w Tryeście, wzniesionym malowniczo w amfiteatr nad portem, ozdobionym pomnikami arcyksięcia Maksymiliana. Dzięki wspaniałemu wynalazkowi kolei żelaznej już o 11^{1/2} wieczorem byliśmy z powrotem w Gorycy.

Chciałbym wam jeszcze w tym liście powiedzieć coś o okolicach Gorycy, które zwiedzaliśmy często. Może już nigdy tu nie będę, to i zapomniabym z czasem, że na północ leży wieś Salcano i góry: Święta, św. Walentego i św. Katarzyny; na wschód Rosental i Stara Góra, a także wieś S. Pe-

ter; na południe S. Andrea i Lucinico; nareszcie na zachód Strazig i Podgora.

W Strazigu znajdują się przedalnie jedwabiu, bawełny i młyn; w Podgorze papiernia. Wszystkie te zakłady należą do bogatych Niemców, baronów Ritterów. Idąc w górę biegiem rzeki Isonzo, dochodzi się do wsi Peuma, leżącej na pagórkach. Wymieniam ją dla tego, że na tych pagórkach zasłoniętych wyższymi górami od wiatrów zachodnich i północnych, owoce dojrzewają znacznie wcześniej, niż w innych punktach doliny Goryckiej.

Dobrze, że niema więcej stron horyzontu, bo bym was dłuższem opowiadaniem na śmierć zanudził. Ale i tak będę miał co mówić, gdy was zobaczę, jeśli będziecie chcieli słuchać wielkiego podróżnika. Na teraz posyłam wam uściski i wołam na całe gardło: „do widzenia”.

Stefan J.

POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Niezaadługo przecież wycia te, inny przybrały charakter zamieniając się na wściekle wrzaski. Wilki skupiły się w gromadę. Czyliż miały zamiar uderzyć wstępny bojem na chatę? Melchior sam siebie o to zapytał, a mówiąc sobie, że to nie było w obyczajach tych zwierząt, jednocześnie przygotowywał się do obrony wraz z towarzyszami nabijając strzelbę. Poznał przecież niezaadługo, że wilki nie z nim miały w tej chwili na pieńku. Musiał tam być jakiś nieprzyjaciel niewidzialny dla myśliwych. Kapitan z palcem na cynglu, ostrożnie podsunął się aż do drzwi, i przy świetle kilku gwiazd, ujrzał ściśniętą wyjąca gromadę wilków, stojącą w bojowej pozycji przeciw jakiemuś bezkształtnemu potworowi, który skulony na gałęzi, gotowy był skoczyć na nie. Dwoje żółtych oczu, błyszczących w ciemności musiały należeć niechybnie, do jakiegoś zwierzęcia z rasy kocięj, pantery, albo rysia. Szczęściem potwór ten pozostawał nieruchomy czekając sposobnej chwili aby rzucić się na nieprzyjaciół. Melchior zatem bardzo powoli podniósł strzelbę wycelował starannie i strzelił. Natychmiast dwa żółte punkta znikły, stała się wielka wrzawa w gęstwinie i w chwilę później spokój i milczenie zalegało naokoło chatę. Na odgłos wystrzału towarzysze Melchiora, zbudzeni oddawna, przybiegli. Kapitan zawiadomił ich kilku słowami o tem co zaszło.

— Moja pantera! — zawołał Menito — nasza pantera! jestem pewien, że to ona. Oh kapitanie, pójdziemy ją zabrać, musi być gdzie niedaleko!

— Nie jest to wcale pewnem mój chłopcze — odparł kapitan; nic nam nie dowodzi iż ją zabiłem lub zraniłem. Wystrzał mógł ją poprostu spłoszyć tylko, tak jak wilków spłoszył. Nic też nie zapewniasz nas, żeby to była twoja lub choćby nasza pantera, do której strzeliłem. Jeżeli ją zabiłem, odnajdziemy ją jutro; a teraz idźmy spać.

— Nie, nie, jestem pewien, że ją pan trafiłeś, ale może jest tylko raniona i znajduje się w gęstwinie. Szukajmy jej aby ją dobić, zanim schroni się do legowiska, gdzie nie moglibyśmy się dostać.

Ponieważ było dużo rozsądku w żądaniu Menita, przeto Melchior go posłuchał. Uzbrowiwszy się głównią z ogniska, wszyscy ruszyli ku drzewu, gdzie kapitan widział zwierzę. Zieleń zgniciona i skrwawiona, dowodziła że Melchior nie chybił, ale zresztą nic nie było. Naprózno myśliwi przeszukali okolicę w pobliżu; wilki uciekając pogniotły także zieleń w gęstwinie, a więc ślady pantery, jeżeli to ona była, mieszały się z ich śladami.

*) Molo jest to tama, wchodząca w morze, dla dogodniejszego przystawania okrętów.

— Wracajmy — rzecze kapitan — nie nie znajdziemy tej nocy; czekajmy ranka.

Tylko Dabby Simon posłuszny był wezwaniu kapitana: Menito i Tomek zniknęli.

Gdy Melchior nawołałszy się ich napróżno, wrócił do chaty z Dabby Simonem, ujrzeli Józefa przewodnika który z nimi nie chodził na poszukiwania, jak klęcząc przed resztkami ogniska zdawał się czemś bardzo zajęty.

— Co on tam robi? — spytał Melchior półgłosem.

— Boże zmiłuj się! a toż on gotuje sobie wieszercę — odpowiedział Dabby Simon.

W tej właśnie chwili Józef nie spostrzegłszy powracających, wydobyl ostrożnie placuszki z pod czerwonego żaru, i gorące niósł do ust, bo łakomstwo nawet mu czekać nie dało aż ostygna.

— No, no, nie przeszkadzamy ci, posilaj się przyjacielu — krzyknął nagle Dabby Simon, uderzając go po ramieniu tak silnie, że placuszek upadł mu napowrót w ognisko. — Ach, to więc pantera zjadła nasz obiad! To pantera ma takie szczególniejsze upodobanie w słoninie, że zjadłaby beczkę! Trzymam ją tę panterę o dwóch nogach i dwóch żołądkach! Szkaradny poganinie.

— Dalej! wynos się prędzej! — krzyknął Dabby biorąc w rękę bicz do popędzania muła. Ale nie trzeba było używać tego ostatniego energicznego środka. W mgnieniu oka Józef znikł, mimo to zdążył zawinąć w swoje kołdrę i porwać trzy czy cztery placki będące jeszcze w żarze, garnek z mąką, i pudło z cukrem stojące w pobliżu.

— Ha! złodzieju! — krzyczał Dabby w uniesieniu gniewu.

— Bardzo zadowolony jestem żeśmy się go pozbyli — powiedział Melchior — ale jakże teraz dostaniemy się do San Diego bez przewodnika?

— Ech, potrafię ja się pokierować. Będziemy dalej iść doliną Magdaleny, napotkamy siedziby ludzkie i wypytamy się o drogę.

Przystawszy nadal kłopotać się o los swoich zapasów, Dabby Simon owinął się w kołdrę i rozciągnął przy resztkach ogniska, starając się zasnąć na nowo, po tylu i tak długich przerwach. Ale Melchior pozostał we drzwiach chaty oczekując niespokojnie powrotu synowca i Menita. Nie można powiedzieć żeby się o nich lękał po prostu, ale zgadywał, że dwaj chłopcy udali się w pogoń za panterą i troszczył się, czy w ciemności trafią napowrót do chaty. Przechadzał się więc u drzwi, wydając od czasu do czasu przeciągły okrzyk, aby naprowadzić na drogę szukających jej. Szczęściem zaczęło wkrótce świtać na niebie i przedmioty otaczające dawały się coraz lepiej odróżniać; cicho było i spokojnie około opuszczonego stanowiska, wilki znikły; nietoperze jeden po drugim powłaziły do swoich dziur; w miarę jak ciemności rozpraszaly się, ptaki się budziły szczebiocząc, krzycząc, lub śpiewając, ale młodych chłopców jeszcze widać nie było. Melchior już myślał ich poszukiwać nie wiedząc nawet w którą stronę się udać? ... gdy zaszeleściło w gęstwinie w bliskości i głos jakiś zawołał:

— Oto jest! kapitanie jest! mamy ją! A co czy nie mówiłem że to moja pantera! — I Menito ukazał się w towarzystwie Tomka, włokąc na rodzaju grubiej plecionki czy noszy naprędce zrobionych, zwierzę, które dnia poprzedniego przyprawiało go o łzy, przystęp niemiędkiej słabości, za którą rumienił się na każde wspomnienie. Sen jego sprawdził się a raczej on sam sprawdził swój sen, pomścił się.

— Doścignęliśmy ją — opowiadał chłopaczek — gdy się wlokła ranna, do legowiska i dobiliśmy ją. Teraz wiemy już drogę do jej mieszkania, trzeba nam powrócić i przekonać się czy nie została małych.

— Bo inaczej biedne sieroty pomarłyby z głodu — dodał Tomek.

Pokazało się istotnie, że pantera miała małe, nie większe od kociąt, które też zostały starannie pomieszczone w klatce o żelaznych prętach obok klatki z małpkami. Skóra zaś, prześliczny okaz w swoim rodzaju, została wyprawiona o tyle, aby mogła dojść do najbliższego miasta, gdzie ją miano wyprawić lepiej.

Stary Dabby miał słuszość, droga była dość łatwą; w pewnych tylko okolicznościach dawał się uczuć brak przewodnika, a mianowicie, żarłok ten znał doskonale własności wszystkich roślin jadalnych w krajach, które przebywano, tak że podróżni sami kazali mu zwykle, aby je kosztował najpierwszy. Szczęściem Dabby Simon odkrył niezadługo, że Bibisia także ten talent posiadała, gdy więc nie był pewnym jadalności jakiego owocu lub korzenia, podawał go Bibisi i wątpliwość bywała rozstrzygniętą wedle tego, czy małpka rzecz podaną jadła lub odrzuciła.

Gdy podróżni przebyli ostatni raz Andy, idąc wzdłuż Putamayo, stanęli nad rzeką Amazonką; zdawało im się prawie że przybyli nad wielkie jezioro. Brzegi przeciwległe ukazywały się w białawej mgie poza szeregiem wysp lesistych, pełnych wzgórz i dolin. Mewy latały na brzegach, w głębinach wód igrały ryby, którym za ciasno byłoby w rzekach europejskich, a także i potwory morskie, takie jak w falach Orenoki: rekiny, delfiny, alligatory i t. p.

Podróżni zatrzymali się zdumieni tym obszarem fal na rodzaju skalistego przylądka, który byłby doskonałym miejscem na obozowisko, gdyby wyczerpanie zupełne zapasów nie zmusiło ich dotrzeć coprędzej do jakiego miasta, gdzieby można przenieść worki znowu napełnić. Melchior miał zamiar nająć statek aby popłynąć w dół rzeki. Udano się więc zaraz w dalszą drogę, aby stanąć przed nocą jeszcze w San Tomas, najbliższym mieście od punktu, w którym się znajdowano. Przewodnikiem w tej podróży był mały Indyanin, który się przyplątał, gdy pomijano wioskę jego rodzinną.

Po kilku godzinach drogi przybyto wreszcie do San Tomas i małe indyjskie dostał obiecane sobie dolary. Melchior ułożył się z jego ojcem przewodnikiem, którego tam spotkali o odwiezienie go z towarzyszami i bagażami statkiem do Tentemoa, odległego o trzydzieści mil. Kapitan postanowił teraz podróżować w ten sposób, ilekroć będzie ku temu sposobność. Trzy miesiące włóczęgi czyniły to prawie koniecznem, bo oprócz Menita, na którego trudy nie wpływały wcale, wszyscy zresztą, nie wyłączając Czarnula, wzdychali już do spoczynku. Chwila ta zbliżała się wreszcie, gdyż w Para, porcie morskim przy ujściu Amazonki położonym naprzeciw wyspy Marajo, spodziewano się zastać zwierzęta, które Melchior wysłał naprzód opuszczać Nową Grenadę. Z Para mieli też wszyscy razem odpłynąć do Europy.

Lecz podróżni nasi płynąc nawet nie przepędzali całych dni na statku. Gdy okolica zdawała się obiecywać pożyśne polowanie, przybijano do brzegu, wysiadali, i powracali zawsze obciążeni zdobyczą, niosąc rzadkie ptaki, małpy, antylopy, pekari, z których część przeznaczano na żywność; czasem przynosili także i płazy żywe lub martwe, a Melchior przygotowywał te ostatnie na zachowanie. Ponieważ trudno było płynąć w ciemności z powodu wysokich traw i porostów, przeto spędzano noce spoczywając w łodzi lub też pod palmami, orzechami i figami na brzegu niezmiernych lasów wieńczących wybrzeże rzeki.

(d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Naród karłów. Przybywszy obecnie do Europy, sławny podróżnik Stanley, którego życiorys wraz z wizerunkiem dawaliśmy naszym czytelnikom, ma zamiar wydać obszerny opis swjej podróży, tymczasem wszakże ci, co się mogą do niego zbliżyć dowiadują się niektórych jej szczegółów, powtarzanych następnie przez zagraniczne dzienniki. Jeden z tychże przytacza obecnie następujące jego opowiadanie o napotkany w głębi Afryki narodzie karłów. „Zawiązawszy przyjaźń z karłami mówi, mogłem zbadać należycie ich obyczaje. Spora ich liczba spędziła cztery i pół miesiąca w naszym obozie, towarzysząc nam wszędzie, poddając się chętnie obserwacji. Pozyskałem niezbite dowody, że zamieszkują oni tę samą część kuli ziemskiej od pięćdziesięciu wieków. Charakter szlachetny i du-

mny tych plemion karłowatych nosi cechę ich starożytności. Mają oni królowę, kobietkę zachwycającą, inteligentną i sprytną, która stała się łącznikiem między swoimi poddanymi a naszą wyprawą, w epoce kiedy porozumienie bynajmniej jeszcze między nami nieistniało. Ciekawe to bardzo, iż te karły, bardzo kształtne, o cerze oliwkowej, daleko mniej niedowierzali nam niż naszym przewodnikom afrykańskim. Zatrute ich strzały zabiły kolejno w lesie dwudziestu jeden Zanzybarczyków, których wysłałem oddziałami z kraju jezior z listami do mojej straży tylniej. Kilku z nich chciałem zabrać z sobą, ale nie mogli się zaaklimatyzować na płaszczynach w krajach suchych. Skoro tylko opuszczali wilgotną okolicę lasów, zapadali na gorączkę, z której już nie powstawali. Żaden z nich nie dotarł do wybrzeża. Królowa, która gotowa była towarzyszyć nam do czarodziejskich krain ludzi białych, o których jej opowiadałem, a jest bardzo ciekawa, zapadła na gorączkę jeszcze zanim doszliśmy do skraju lasu. Zatrzymała się w porę. Ta mała królowa zasługuje na swój tytuł; jest ona filuterna i dobra; przebiegła i łagodna. A jej ręce i nogi mają śliczne kształty, małość ich zaś wprowadziłaby w rozpacz Chinki. Co do jej kostiumu, jest on podobnie jak kostium całej tej ludności gnomów, wielce zaniebany. Niezaprzeczoną oznaką cywilizacji jest zręczność, z jaką karły robią siatki, służące za sidła dla zwierzyny i strzały z żelaza kutego, które tak boleśnie dawały się we znaki naszym Zanzybarczykom.

W każdym razie niema nigdzie koszykarzy, tkaczy i kowali, posiadających więcej zręczności lub gustu od nich. Mają oni własne miechy, odpowiednie do ich wzrostu, młoty, kowadła, wszystkie narzędzia narodów cywilizowanych. Ich strzały to istotne arcydzieła, takie mają gustowne ozdoby”.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla Srebrnej kropelki od Szarotki alpejskiej.

Wyrazów 15. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu czytane, dadzą imię i nazwisko oraz nazwę dzieła jednego z poetów. Las—nik—li—Sa—no—on—Cy—ses—Ło—mlec—Ja—żeł—ce—U—tą—um—że—Ar—ki—na—ko—bon—I—dy—prząż—Wy—no—cy—gi—U—błecz—Ser—bo—o—Ka—tro—me—Ig—bo—san—Za—ry—le—Os—Znaczenie wyrazów: 1. Ulubiony dawniej napój Normandczyków. 2. Bohater z wojny trojańskiej. 3. Przydomek jednego z królów. 4. Istota pozbawiona rozumu w 6 prz. lic. poj. 5. Rzecz niezbędna do jazdy. 6. Ważny organ ludzki. 7. Wiara w nie-dorzeczności. 8. Kwiatki wiosenne. 9. Miejsce spoczynku. 10. Roślina. 11. Gatunek psa. 12. Rzeka we Włoszech. 13. Część ołtarza. 14. Rodzaj jaszczurki. 15. Imię męskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

Szarady:

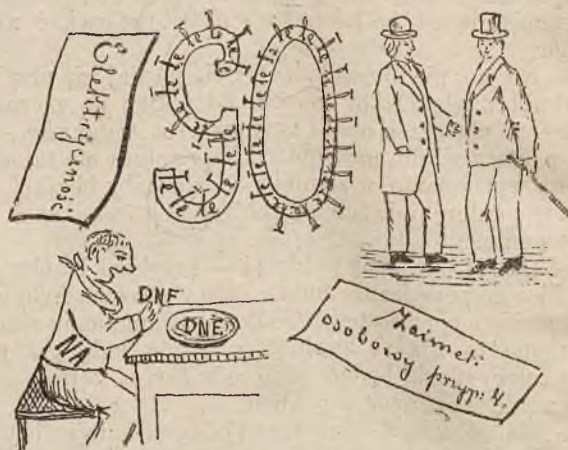
O — po — ka.

Łamigłówki sylabowej:

1. Drezno. 2. Leopold. 3. AnczyC. 4. SyrakuzY. 5. AugsburG. 6. RóżA. 7. EdeN. 8. NormanowiE. 9. KuC. 10. IrtysZ. 11. Zimorodek. 12. NgamI. 13. ArbuZ. 14. DoN. 15. MaryA. 16. OclanD. 17. RostóW. 18. OnI. 19. CzikoS. 20. ZŁ. 21. Urny.

Dla Sarenki z nad Moroczku od Cyganeczki z nad Wisły.

REBUS.



OGŁOSZENIE.

Kolonje letnie dla biednych słabowitych dzieci, urządzone w roku ubiegłym staraniem i przy współudziale ludzi dobrej woli i pragnących przyczynić się do wszystkiego, co tylko dobro ogółu ma na celu, tak pod względem liczby dzieci wysyłanych, jak i pod względem rezultatów dla ich zdrowia przeszły wszelkie oczekiwania.

Dzieci biednych, schorzałych, skrofulicznych i na rozmaite sposoby niedomagających wysłano 417, czyli o 121 więcej niż lat poprzednich!

Do licznych protektorów i protektorek instytucji naszej, o których corocznie sprawozdanie wspomina, przybył w r. z. pan Karol Dittrich, który dwudziestu czterem chłopcom naszym udzielił w Żyrardowie gościnność wzięwszy na siebie całkowite utrzymanie.

Po czterotygodniowym pobycie powrócili oni z lepszym zdrowiem, wzmocnieni na siłach i odporniejsi na wszelkie przeciwności, jakie ich w życiu czekają.

Bliższe szczegóły zeszłorocznych kolonii letnich podane są, jak corocznie, w oddzielnie wydrukowanym sprawozdaniu.

Wobec jasnego słońca i pogodnego nieba jakie z nastaniem wiosny nam przyświecają, zbudziła się w sercach ubogich dzieci naszego miasta nadzieja, że i w tym roku dobrzy ludzie o nich nie zapomną i z hojniejszymi ofiarami podążą, żeby im tak jak corocznie od lat 9-ciu dać użyć świeżego powietrza, swobody wiejskiej i pokrzepić wątłe ich siły.

Nie wątpimy iż nadzieje te ziszczone będą, tembardziej, iż rok bieżący zapowiada się świetniej niż poprzedzające, pod względem miejscowości, które na rzecz naszych kolonii ofiarowane zostały.

D-r. J. Fritsche.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Co on pisał p. Z. Morawską. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Na wsi, (drzew.) — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych. — Poszukiwacze dzikich zwierząt. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Złapana zięba p. Maryą Weryho (z drzew.) — Prawdziwa odwaga. — Dobry Ignasz, wiersz. — Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalińską Zielińską.

ZŁAPANA ZIĘBA.



Dobrze, wesoło i swobodnie było ziębie w lesie. Chwilki jednej na miejscu wysiedzieć nie mogła. To ziarnko na ziemi dojrzała, to za muszką poleciała, to komara gonila.

To znowu z jednej gałązki na drugą przeskakiwała z jednego drzewa na drugie, z jednej gałązki na drugą przefrunęła, gwizdząc (śpiewając) wesołą piosenkę.

Widzi raz zięba na ziemi mnóstwo ziarenek wysypanych.

Toż to radość dopiero!

Sfrunęła z drzewa, zaczęła prędko zajaść.

Wtem klap, coś stuknęło. Złękła się bardzo, chciała odlecieć, nie może.

Biedaczka wpadła w sidła.

Za krzaczkiem siedział chłopczyk, widział on jak zięba dała się złapać. Czempredziej wyskoczył, zabrał ptaszka i zaniósł do domu.

Zięba jeszcze próbowała się ratować, rzucała się to w jedną, to w drugą stronę, ale wszędzie napotkała siatkę.

— Maniu, Edziu — wołał chłopczyk z daleka — chodźcie-no, chodźcie, zobaczcie co ja mam.

— Ptaszek, ptaszek — wołały dzieci razem — ach jaki ładniuchny.

— To zięba — zawołał Edzio — zięba, poznałem od razu po jej kasztanowatym grzbiecie i czerwonym spodzie.

— A czy ona śpiewa — pyta Mania.

— O, i jeszcze jak ładnie!

— Pyszenie, wybornie — zawołała Mania, klaszcząc w dłonie. — Jasiu — mówiła potem do chłopczyka, biorąc ziębę — ja będę ją karmiła.

— Przepraszam, ty nie masz pojęcia, jak się wziąć do tego, ja co innego, ja wiem, jak się karmi ptaki.

— No, to ja będę ją poiła, będę jej wody przynosiła — rzekła tuląc do siebie ptaszka i przyglądając mu się ciekawie.

Tak rozmawiały dzieci uradowane, a ptaszek tylko trzepotał skrzydełkami.

Przyszedłszy do domu, dzieci wsadziły ptaszka do pięknej klatki drucianej, nasypały mu do pudełka konopi, włożyły trawki, postawiły wody i co chwilę przybiegały patrzeć, co ptaszek robi.

Ale ptaszek siedział na pręciku w więzieniu swoim, i widocznie był bardzo smutny, bo niczego nie tknął.

— Kiwi, kiwi, wi — posłyszały dzieci.

— Zięba śpiewać zaczyna, cicho bądźmy, teraz szta, słuchajmy, jak ładnie śpiewa.

Ptaszek naprawdę śpiewa, ale to nie była ta sama piosenka wesoła, która rozlegała się po lesie. Ptaszek śpiewał piosenkę bardzo smętną.

— Kiwi, kiwi — jakby mówił ptaszek — otwórzcie mi ludzie, pokoście mię uwieźli. Tam miałem lasy, sad i ogrody, fruwałem gdzie mi się podobało, a tu siedzieć muszę w ciasnej klatce. Puśćcie znowu na swobodę.

— Kiwi, kiwi — skarżył się ptaszek. — Ludzie, tam w gniazdku pozostało moich czworo piskląt małych, któż je bezemnie nakarmi, kto je obroni, kto je wieczorem ogrzeje?...

— Kiwi, kiwi. Duszno mi jest tu w więzieniu ludzie, wypuście mię. Słonka, powietrza mi dajcie, powietrza, kiwi, kiwi, wi...

Nareszcie przestał śpiewać. A kiedy Mania nad wieczorem przyniosła ptaszkowi wody, leżał na ziemi, nóżki miał wyciągnięte i ciężko oddychał.

Mania zawołała natychmiast braci swoich. Wszyscy patrzyli na biedną ziębę, ale nikt nie wiedział, co jej jest. Ptaszek oddychał coraz wolniej, wolniej... Jeszcze chwila i żyć przestał.

Łzy zakręciły się dzieciom w oczach. Stały, nic do siebie nie mówiły. Nie rozumiały one, co śpiewała zięba, ale teraz wszystkiego się domyśliły.

Marya Weryho.

PRAWDZIWA ODWAGA.

— Jasiu, Bój się Boga, uważaj! bo mnie zatniesz tym szkaradnym batem; co za myśl, żeby po pokoju śmigać, jak przed stajnią. Daj temu pokój, proszę cię bracie.

— Zosiu, nie bądź nudna, jeszcze ani razu w ciebie nie trafiłem; zresztą — dodał ze złośliwym uśmiechem — choćbym cię i trafił, bat to nie armata, nie zabiłbym cię pewno; ale jeżeli ci tu źle, to się odsuń.

— Już trzeci raz przesiadam się z moją robotą, ustępując ci się z drogi. Mój Janku, ja się tak boję, ile razy koło mnie przebiegasz.

— Tchórz, niedołęga — zawołał Janek — wstydziałabyś się bać się tak wszystkiego. Właśnie dla twego dobra biegam i hałasuję i batem blisko uszu wywijam, żeby cię przyzwyczaić do niebezpieczeństwa. Będziesz mi później wdzięczną, jeżeli się poprawisz.

— Już zostaw mamie naszą troskę o moją poprawę — rzekła Zosia — mama nie uczyła mnie nigdy, żebym dla żartów na ból i przykrość się narażała. Zresztą mnie inne zabawy zajmują.

— Ale ja chcę mieć siostrę dzielną i odważną, a nie jakąś nerwową. Masz przykład ze mnie, jaki zuch jestem, nie boję się niczego, ani bata, ani konia, ani nawet... twoich grymasów.

— Mówiąc to, Janek podbiegł żywo i zapewne w najlepszym zamiarze, chcąc w Zosi tę przechwaloną dzielność wyrobić, wyciągnął z pod niej krzesło. Biedna dziewczynka, nie spodziewająca się takiego zamachu na swą równowagę, upadła na ziemię, a ratując się rękami w których trzymała pończochę, w dłoń wbiła sobie drut głęboko, krzyknawszy z bólu i przerażenia.

— Czego krzyczysz — wołał Jaś gniewnie, podnosząc ją z ziemi. — A cóż tak strasznego, żeś upadła; czy chcesz żeby ojciec, chory na głowę, usłyszał i gniewał się na mnie? A bo to ja raz upadłem, a dla tego nie krzyczałem. No, cóż ci się stało, Zosiu, siostrzyczko, co ci się stało — wołał Jaś, zaniepokojony już, bo Zosia, choć głośno krzyczeć przestała, podniosła się ze łzami i cichym jękiem, rękę prawą wyciągnawszy przed siebie. — Boże! jakżeż mnie boli! — szepotała z płaczem.

Jaś patrzył w osłupieniu na swoje dzieło, przebitą rękę.

W tej chwili z przyległego pokoju wbiegli rodzice. Matka przytuliła Zosię do siebie i unosząc zranioną rękę, zawyrokowała natychmiast, że bez doktora się nie obejdzie...

— Śpiesz się tylko, żebyś go zastał — mówiła do męża — bo drut trzeba wyjąć jaknajprędzej, nim ręka spuchnie.

— Jadę natychmiast, będę szukał wszędzie i zaraz ci go przywiozę.

— Ojciec — zawołała Zosia, widząc przerażenie rodziców, widząc że Jaś blady stoi jak w ziemię wrośnięty. — Ojciec, nie śpiesz się tak, mnie nie bardzo boli. Włóż ciepły szalik na szyję, dziś zimno, a ty ojciec nie zdrow jesteś. Mnie doprawdy nie tak bardzo boli — ale drżenie jęć głosu, łzy płynące po twarzy, zmuszającej się do uśmiechu, zdradzały wielkie cierpienie.

Rodzice się dobrze na tem poznali.

— Jakim sposobem Zosia to sobie zrobiła? — zapytał ojciec, a surowym wzrokiem spojrzał na Jasię, którego skruszona postać zdradzała winowajcę.

Zosi żal się zrobiło biednego braciszka.

— To przez moją nieuwagę i niezręczność, ojciec drogi, siedziałam na brzegu krzesła i spadłam, ale mnie nie bardzo boli — dodała znowu.

Pan B. prędko powrócił z doktorem, który był przyjacielem rodziny i oddawna już polubił Zosię. Ze współczuciem ujął jej biedną zbolalą rączkę.

Zosię cierpliwość i odwaga nie opuściły ani na

chwile. Chcąc rodzicom oszczędzić udręczeń, Bogu swe cierpienie ofiarowała.

Szybko i szczęśliwie drut został wyjęty i ranka w parę dni się zagoiła, a Jaś przyznawszy się rodzicom w jaki sposób stał się powodem nieszczęśliwego wypadku, rozumiał, że hałaśliwy zawadyaka nie jest bohaterem, ale ten raczej, co wobec własnego cierpienia umie zachować spokój i pamiętać o drugich cierpieniu.

A. Z.

DOBRY IGNAŚ.



gnaś pracował okropnie,
Więc samo z siebie wynika
Że w szkołach dobre miał
[stopnie

A w domu zastał konika.
Jakby miał skrzydła sokoła
Co to się nigdy nie nuża
Konik z Ignasiem mknął
[w pole

Na wyścig z wichrem i burzą.

Lubi to Ignas serdecznie,
Jednak dla małej siostrzyczki,
Gdy ona prosi go grzecznie,
Konika wpręga do bryczki.
Małej dziecinną bryczkę:
Konik na żarty pozwoli,
Z wielką uciechą dziewczeczki
Nie skacze, idzie powoli.

Tak Ignas dobry chłopczyzna,
Chętnie, z uśmiechem w potrzebie,
Z młodu przywykać zaczyna:
Jak żyć, nie tylko dla siebie.

Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy.

— Dałam dziadkowi grosz! dałam dziadkowi grosz!
— wykrzykiwała Helenka, przeskakując w rozpędzie grządki kwiatów, aby jak najprędzej dobieść pod lipę, w której cieniu siedziała mama.

— Dałam dziadkowi grosz! dałam! — znów powtórzyła, nie wiedząc, że biedny starzec, przystanawszy za ogrodzeniem, przysłuchiwał się z bardzo smutnym uśmiechem.

— Dałam dziadkowi...

— Fe! wstydź się, Helenko. Któż rozpowiada o tem co dał ubogiemu, a do tego z hałasem, krzykiem. To wielki nierozsądek i grzech zarazem.

— Grzech? czy być może? Prawda... mama się zlekła. A ja tu z taką radością biegłam, ażeby się pochwalić.

— Można się radować pocichu, zaś chwalić się nie było czem.

— Wszak dałam dziadkowi grosz.

— Dałaś!... aż słuchać przykro.

— Dla czego moja mamó.

— A dla czego Helenka się chwali?

— Bo... bo zrobiłam przecie dobry uczynek.

— Dobrze uczynki powinny być zawsze tajemnicą naszej duszy. „Niechaj nie wie lewica, co uczyni prawica”, brzmią słowa święte. Wykładałam to Helence wczoraj.

— Ale mi wcale nie powiedziała mama, że chwalić się nie trzeba.

— Chwalić się samą, to próżność, zatem grzech.

— Czy także wtedy, kiedy spełniamy chętnie dobre uczynki?

— Spełniać chętnie dobre uczynki, jest naszym obowiązkiem.

— Ja nie dokładnie jeszcze rozumiem, co znaczy obowiązek.

— Znaczy powinnośc czynienia dobrze, wedle sił i możliwości.

— Nauczała mnie jednak mama, że czynić dobrze jest zasługą wielką przed Bogiem.

— Bóg żąda zasług, bez marnój z czynów pychy.

— Wiem teraz, mamó, wiem! Zgrzeszyłam najokropniej! Uczyłam się niedawno w książce, że pycha jest najpierwszym, głównym, szkaradnym grzechem.

— Twoja zaś jest tem większą, im mniejszym był twój datek. Nie inaczej pomyślał starzec, który cię pewno słyszał.

— Ach, moja droga mamó, nigdy już, nigdy przechwalać się nie będę. Jakoś nie rozumiałam nauki. Mateczka się nie gniewa?

— Nie, tylko pragnę, abyś ją rozumiejąc, w duszy i w sercu czuć umiała co dobre a co złe.

— Wszystko zrozumie — odrzekła Helenka — zobaczy mama, zobaczy! — Potem nieco wolniej dodała, wskazując na swą lewą dłoń: — Ta lewa rączka z pewnością się nie dowie, co czynić będzie prawa.

— Nic nie powie o danym groszu?

— Mama słusznie ze mnie żartuje — rzekła po chwilowym namyśle Helenka. — Bo też jestem taka niedobra, taka roztrzępana, nieznośna! Dałam biednemu zaledwie grosz, i zaraz biegnę, rozpowiadam i krzyczę, jak o wielkiej, nadzwyczajnej rzeczy. Ale, mateczko, ja dziś nie miałam, doprawdy że nic nie miałam więcej. A może... może ten staruszek nie słyszał?

— Tam, w górze cię słyszano, kochane dziecko! Czy i o tem nic nie wiedziałaś?

— O, wiedziałam najdoskonalej.

— Lecz zapomniałaś, a moje słowa niesie kędyś lecący wiatr.

— Będę uważać lepiej, droga mateczko.

— By tego dowieść, opowiesz jasno o co nam głównie chodzi.

— O próżność brzydką i mój krzyk.

— I o zasługę. Oto są czyny: Wyliczam je dokładnie: Po pierwsze: dałaś dziadkowi grosz... Jakże dla nędzy mało! Zda się, że wczoraj w twojej kieszonce z niedojedzonem ciasteczkiem został. Po drugie: krzycząc odbiegłaś starca, który przy wrotach z goryczą się uśmiechał. Może pomyślał, że więcej cię kosztuje choćby jeden cukierek. Na szczęście, ja go znam, przeproszę

i wspomogę. Pamięta on szczęśliwszą dolę, bo sam przed laty wspierał także nędzarzy, bez chlubienia się ze swych czynów. Po trzecie... mamże zapytać, czy to ty sama zapracowałaś na dany dzisiaj grosz? Nie; masz go od rodziców, pragnących widzieć jaki zrobisz użytek z udzielanych ci pieniędzy. Bardzo zawiedli się na tobie, bo grosz za groszem wyrzucasz na łakocie, a chwalisz się dawszy komuś jeden. Cóż cię to kosztowało? z czegoż ta głośna chluba?

Nie ma zasług bez trudu, pracy. Najcenniejsze zasługi ciche. Pojmiesz to może lepiej, dokładniej z wiekiem.

— Boże, mój Boże! — wybuchnęła Helcia — kiedy ja mała i pracować nie umiem.

— Więc dziel się chętnie, wspomagaj tem co otrzymałaś dla siebie; lecz dziel się z przekonaniem, że dałaś nazbyt mało, kiedy cię niebo tak obficie, tak hojnie, nad zasługę twoją obdarza.

— Prawda, prawda! Czemuż mi to na myśl nigdy nie przyszło? Mama wszystko musi mi zawsze tłómaczyć. I teraz chcę się mamy zapytać...

— Słucham cię, moje dziecko.

— Mówiła mama, że czynić dobrze jest naszym obowiązkiem.

— Pamiętałaś wybornie. Dodam jeszcze po czwarte, że obowiązki złe pojął ten, kto ich z gorącem nie spełnia uczuciem, jedynie przez miłość Boga i bliźnich. Czyń ludziom dobrze, myśl, pracuj zacnie, lecz nigdy dla pochwały. Skończyłam Helciu.

(d. n.)

SZARADA.

od Sosenki z nad Wisły dla Listka bzu.

Pierwsze — to połowa mamy,
Drugie — zwierzę którego znamy,
Wszystko imię twoje znaczy,
Gdy zdrobniale się tłómaczy.

Łamigłówka kryształowa.

od Białej Orliczki dla Gołąbki pocztowej.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę domowe. 3. Zwierzę gorących krajów. 4. 5. Ludowa nazwa rośliny łąkowej. 6. Szacowny organ. 7. Samogłoska. Środkowe litery utworzą pseudonym dobrze nam znaną korespondentki.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

Szarady:

A — mur.

Łamigłówki głoskowej:

Do czasu dzban wodę nosi.

Skrzynka do listów.

Kochane **Jabluszeko** z Kani może do nas pisywać, bez żadnego pośrednictwa, a zrobi nam zawsze liścikiem swoim przyjemność. Cieszymy się bardzo że zadowolnione z nagrody. Kwiateczki wymalowała jedna pani, co także pisuje do Wieczorów.

Nie dziwimy się wcale uczuciom twoim miła **Rusinko**, i przyklaskujemy im całym sercem. Radzi jesteśmy, że cię zajmuje czytanie Wieczorów, a przy pierwszym konkursie, czekać będziemy twego w nim współudziału.

Dziękujemy ci **Jaskółeczko** z nad Dunaju za uczynienie za-
dość ślicznej prośbie, co do wypisania nazwiska i pospieszamy do-
nieść, że odebraliśmy przesyłkę dla kolonii letnich. Przeczytaliśmy
rękopis i widzimy w nim niezaprzeczane ślady zdolności. Aby je
wszakże rozwinąć tak iżby pożytek przynieść mogły dla ogółu,
należy przedewszystkiem uczyć się, bo same tylko pisanie może
przynieść szkodę wrodzonym zdolnościom.

Solenizantka, o której imieninach pamiętała Niezabudka z nad
Chomoru, serdeczny jej uścisk za tę pamięć przesyła.

Twój liścik kochany **Krokodylu** wielką i bardzo wielką zrobił
nam przyjemność. Ściskamy cię za niego serdecznie, jakże byli-
byśmy radzi mogąc dopełnić tego osobiście za bytnością twoją
w Warszawie. Gdybyś tylko do nas przyszedł jak to obiecujesz,
pokazalibyśmy ci najchętniej jak się to „robi gazeta”, tymczasem
ściskamy cię raz jeszcze po tysiąc razy życząc polepszenia zdrowia
taty i wesołej zabawy na wsi.

Prawda, kochana **Czeska Niezabudko**, że „od wieków” już nie
pisałaś do mnie. Tem też serdeczniej dziękuję ci za miły liścik,
za wiadomości jakie mi w nim o sobie przesyłasz i za te także,
które *mnie* się tyczą. Kimkolwiek jestem, zawsze pewne serca me-
go być możecie siostrzyczki najdroższe, a o to tylko chodzi, nie-
prawdaz?

Biała Ostróżko i ja żałuję że polecieć na Ukrainę nie mogę.
Bzy i konwalie mamy i tutaj, ale powietrza, przestrzni, szerokiego
oddechu pół nie znajdziemy w Warszawie. Listy, na które udzie-
lono odpowiedź, czasem są tylko przechowywane, wtedy gdy w nich
jest adres, lub coś ważniejszego. Szesnastoletni Wojewoda skończy
się niezadługo.

Jaskółko z nad Dunaju, z najżywszym zachwytem czytałam
opis w twym liście zawarty. Wyglądałoby to na cudowną bajkę,
gdyby nie było jeszcze cudowniejszą prawdą! Szczęśliwaś ty sta-
ruszka, że takie osobliwości oglądasz i tak ślicznie opisywać
umiesz!

Druga staruszka **Babuńcia**, tak serdecznie odzywa się do
mnie, że siostrzanym jej odpowiadam uściskiem, oraz życzeniem:
szczęść Boże w pracy!

O, **Główko cukrowa**, jak można nawet przypuszczać, że
względem której z siostrzyczek niesprawiedliwą być „*zechęć*?”

A ty, **Nihil** nowa, sympatyczna siostrzyczko, możesz być pe-
wną, że nie tylko się nie obrażę za poufałe „ty”, ale zawsze serde-
cznem ci słowem odpowiem. Na twoje określenie poety najzupeł-
niej się godzę. Jak ty rozumiesz muzykę! jak ją kochasz. Na to
co nazywasz „prośbą” a co dla mnie szczerą jest pokusą, nie mogę
dać dziś jeszcze stanowczej odpowiedzi.

Niebieska Wstążeczko, Dobra pani, której twój list czyta-
łam, powiada, żeś powinna się nazywać „Dobrym Czynem”. To od
wszelkich „marzeń” piękniejsze...

Zorzo jasna, niecierpliwie czekam obiecanych szczegółów.
Nie siedziałabym chyba nigdy przy pracy, gdybym na każde zapro-
siny tu i owdzie latała! a ciągnie mnie na wieś, o! ciągnie...

Niezapominajko z nad Warty, termin ogłoszenia konkursu,
jest tajemnicą Redakcyi. Od Czarnej Kotki i Muszki brzęczącej da-
wno już wieści nie było. Naturalnie bawić się już nie mogę lalka-
mi, nie śmieję się jednak z ciebie i upodobanie to rozumiem.

Zdaje mi się, **Czarodziejkę** droga, że ci dobrze radzą. Po-
płatne to zajęcie, coraz jednak trudniej je znaleźć z powodu mno-
żącej się liczby uzdolnionych kandydatek.

Gałązka Jaśminu z Radomia wie o mnie więcej, niż ja sama.
Nic to jednak nie szkodzi; miło mi powitać taki miły i wonny kwia-
tek, i „ośmielić” go moją „dobrocią”.

Wiedence ślicznie dziękuję za szaradę; odgadłam ją i autorce
przesyłam uścisk serdeczny, Kalince zaś z nad Dniepru i Kwia-
ciarce zapewnienie, że liściki ich wzięte są pod opiekę, również jak
inne mnie powierzone.

Polna różyczko kochana, liściki *muszą* czekać swojej kolei, ja
już na to nic nie poradzę! Książka, o którą pytasz, kosztuje
z przesyłką rs. 1 kop. 40.

Najsłiczniej dziękuję ci **Skanderbegu** za bratek; czy sam go
w ogródku swoim wypiełgnowałeś? Liścik twój biorę w opiekę,
nie przespiesz ona wszakże wydrukowania go, bo Redakcyja musi
być w tym względzie ściśle sprawiedliwą. Inaczej zawsze komuś
wyrządziłaby niesprawiedliwość.

Jaskółko z nad Sekwany i do ciebie się to stosuje, droga
moja, najzgrzybiałsza ze staruszek. Obie powieści, o które pytasz,
są jednej autorki. Imienniczka twoja z nad Dunaju, także już do
staruszek należy, również jak i wasza

Gołąbka.

Jestem nową, prenumeratorką i dosyć młodziutką; witam
was, kochane współczytelniczki, bardzo miłutkie są liściki wasze,
proszę aby która z was do mnie napisała. Tymczasem przesyłam
wam serdeczne wyrazy i obieram sobie pseudonym. *Pieszczotka*
z małego ogródka.

Kochane **Muchołówko** i **Ciecioreczko**! Znacie mnie doskonale,
a szczególnie ty **Muchołówko**: byliśmy w jednej klasie, tylko ty
siedziałas przy tablicy, a ja pod oknem. Bawiliśmy się zawsze
podczas pauzy. Jestem kuzynką **Wańdzi Mat.**, która siedziała za
tobą. Pewno już zgadła. Ty **Ciecioreczko** nie możesz mię pa-
mętać. Biedna **Zosia** zajęta nauką w czwartej klasie, ale ty **Józiu**
w trzeciej masz jeszcze czas odgadnąć łamigłówkę, którą ci po-
syłam. Odpiszcie mi prędko obiedwie. Całuję was *Grażyna*.

Kochane: **Różyczko** biała z Wołynia i **Blondynko** podolska!
Donoszę ci **Różyczko**, że nie mieszkam w okolicy **Żucka**, ale **Stare-
rego Konstantynowa** i zapytuję przy kim się uczysz, i czy masz
siostry? Tylko cztery mile nas przedziela **Blondynko**. Oczekując
odpowiedzi, całuję was obie serdecznie, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Witam was drogie moje: **Gałązko** **Paproc**, **Sarenko** z nad
Moroczu, **Topolko** srebrna, **Chmurko** i **Jaskółko** z nad Sekwany!

Powiedz mi **Gałązeczko**, czy cieszysz się na przyjazd **Filare-
tki**? Czy często pisujesz do **P. Maryli**? A **Gruś** jak się miewa?
Ty **Sarneczko** musisz lubić twoje leśne imienniczki? w zeszłym ro-
ku straciłam jedną, ach jak się napłakałam! Donieś mi gdzie mie-
szkasz? jak również i ty **Topolko** srebrna. **Chmurko**, co lubisz
w Wieczorach kochanych? Ja wszystko. Prawda jaki był ładny
opis życia małego króla **Hiszpanii**? **Jaskółeczko** droga przyslij nam
prędko twoje skrzydlate siostrzyczki, bo ich tu wyglądamy z upra-
gnieniem. Czy znasz **Józję Hajdukiewicz** z hotelu **Lambert**? Do
widzenia, piszcie do waszej *Lilijki z nad Oslawy*.

Drogie moje: **Gałązko** **paproc**, **Serdeczna** dziewczynko, **Rybko**
z **Hniliopiaty** i **Cyganezko**! Podobały mi się bardzo wasze pseudo-
nymy, piszę więc do was oczekując odpowiedzi, donoszę że mam
lat 14-cie, mieszkam w małym miasteczku **Warcie**; pewnie i wy
zrobicie mi tę przyjemność donosząc co o sobie. Ściskam was ser-
decznie, *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochanę **Niezabudce** **Czeskiej** dziękuję bardzo za życzenia
i przesyłam milion całusów.

Kochana **Blondynko** podolska! Zdaje mi się, że jesteś córką
d-ra **K.**, który był kiedyś u nas w **Kaźmirku**. Jeśli tak, to jesteśmy
blizkiemi sąsiadkami. Nazywam się **Jadwisia** i bardzo chciałabym
cię poznać. Odpisz mi proszę, *Jagódka podolska*.